Sejdachmet Kuttykadam

Komiczna etnopsychologia

Wiele państw tworzy mnóstwo poważnych instytutów i centr badawczych, które uważnie śledzą politykę, ekonomię, naukę, strategię wojskową i dyplomację innych państw, aby móc wobec nich wypracować odpowiednią linię postępowania.

Może jednak, aby lepiej pojąć politycznych figurantów, ich modele postępowania, narodowe zalety i słabe strony czy ukryte motywy dążeń, warto byłoby spojrzeć na wszystko od nieco innej, żartobliwej strony? (Zresztą takie opisy cech narodowych zapewne pomogłyby także i tym narodom lepiej zrozumieć siebie.).

Rola typologii

Cechy narodowe przejawiają się nie tylko w myślistwie czy wędkarstwie, w sposobie życia i obcowania, co z talentem pokazuje się m.in. w popularnych filmach rosyjskich, ale, jak wiadomo, także w tych narodów kulturze, sztuce, gospodarce i – rzecz jasna – w polityce.

Polityka każdego państwa przechodzi przez magiczny kryształ narodowego charakteru. A rzeczony charakter nader swobodnie personifikuje się w żartobliwych typach wielu narodów. Będzie to m.in. banalny francuski Jean, lubieżny hiszpański Juan, nijaki angielski John Bull, bezceremonialny amerykański wujek Sam, sentymentalny hinduski Radź, uparty polski Józek (Józef), ekscentryczny rosyjski Iwan i – zalewający film oraz literaturę Francji i Wielkiej Brytanii – brutalny niemiecki Hans.

W krajach „złotego miliarda" wszyscy z zadowoleniem śmieją się nie tylko ze swoich sąsiadów, ale i z siebie, co zaświadcza o stanie zdrowia psychicznego danego narodu.

Na Wschodzie popularne są głównie nie tyle uwspółcześnione i zindywidualizowane typy etniczne, ile historyczne i społeczno-regionalne, jak indyjsko-pakistański Birbal, irańsko-arabski Sindbad, środkowo- i przednioazjatycki Nasreddin, a u Kazachów szelmowski Ałdar-Kose[1].

W niniejszym materiale postaram się pokazać, jak Kazachowie, ze swego punktu widzenia, postrzegają swoich głównych partnerów i samych siebie.

Wujek Sam

W XVII–XVIII w. tłumy Europejczyków, głównie zachodnich, śpieszyły na podbój Ameryki. Ta pierwsza fala żywotnych młodych kolonistów, zmierzających każdą drogą do zysku, bez wahania stosujących prawo pięści, bezczelnych, sprytnych i przedsiębiorczych, złożyła się na typ narodowy. U podstaw „wielkiego amerykańskiego marzenia" leży głębokie poczucie urazy przesiedleńców wobec rodzimych bogów, którzy nie uznali ich talentów i dlatego cały czas udowadniają im, innym i przede wszystkim sobie, własną wyjątkowość i samodzielność. Stąd bierze się tak silne ich ukierunkowanie na podbój nowych stref i przestrzeni w każdej dziedzinie.

W atmosferze tamtych lat przyjaźń i wrogość rodziły się szybko, półtonów mogło nie być. Zapewne, jako żywiołowcy, sami wyjaśnić nie potrafili swoich wyborów. Ot, po prostu: ten facet jest doby, a ten – zły. Od tamtych czasów w organizm wujka Sama wniknął nawyk, by wiele nie mędrkując, szybko dzielić wszystkich na dwie wyraźne grupy – „dobrych" i „złych" chłopców, przy czym – do „dobrych" zaliczał tych, którzy nie kwestionują jego pozycji pierwszego chłopaka we wsi, natomiast tych, którzy tego nie uznają – do „złych". I – zgodnie z tym postępować.

Prostoduszny Sam nigdy nie miał wątpliwości co do zasad swego postępowania. Przecież on – to główny demokrata na świecie, a główny jest

[1] **Ałdar Kose** – nie jest to imię, tylko przezwisko. Ałdar oznacza oszust, Kose – bezbrody. Biedny i zarazem dobry człowiek, walczył o sprawiedliwość i pomagał pokrzywdzonym.

głównym wszędzie i do wszystkiego ma prawo. I – jak głosi dr William Smayser z Uniwersytetu Georgetown: „Być przyjacielem Ameryki jest tak samo trudno, jak być jej wrogiem".

Sam „dobrych chłopaków" przyciska do piersi mocno i tak, że czasem ci ledwo dyszą, wali ich z rozmachem po plecach i radzi robić wszystko po amerykańsku. Na wszelkie wątpliwości odpowiada pytaniem: „Jesteś moim przyjacielem?" „Tak!" „No właśnie, jeśli jesteś moim przyjacielem, to ja wiem, co dla ciebie jest najlepsze, słuchaj mnie i wszystko będzie okay". I jeśli jesteś usatysfakcjonowany tak wysokim zaszczytem, rzeczywiście zaczyna poważnie ci pomagać, oczywiście nie zapominając o własnej wygodzie. Jeśli ktoś cię tknie, wujek Sam natychmiast podwinie rękawy i wda się w bójkę, niekoniecznie wiedząc, kto ma rację, a kto winien: dla niego ważne, kto jest jego przyjacielem, a kto wrogiem.

Ale jeśli znalazłeś się wśród „wrogów" Sama, to z tobą marnie. Zaczyna cię wszędzie prześladować i wszystkim ogłasza: „Tam, gdzie bywam ja, ma nie być nawet śladu tego oto «złego chłopaka»." I tu, jako norma, nasuwa się przykład: na waszych wodach terytorialnych pojawiają się jakieś mityczne siły, które atakują niewinne amerykańskie kutry przepływające obok; jacyś szaleńcy strzelają z proc do delikatnych amerykańskich samolotów i je strącają; nieokreśleni terroryści, bardzo podobni do waszych chłopaków, ostrzeliwują amerykańską ambasadę w afrykańskim buszu; zachodzi podejrzenie, że na waszym terytorium znajdują się środki masowej zagłady lub na jednym z targowisk w waszej stolicy dochodzi do bójki pomiędzy miejscowymi wyrostkami, co oczywiście stwarza istotne zagrożenie życia dla nielicznych Amerykanów znajdujących się o kilka kilometrów od tego miejsca. A w takich przypadkach bezpieczeństwo każdego Amerykanina ceni się o wiele wyżej, niż los jakiejś bananowej czy baraniej republiki. Wcześniej w takich sytuacjach wujek Sam, nie namyślając się, wysyłał w te miejsca kanonierki, potem – „latające twierdze", teraz – rakiety. Zresztą, czasem uznaje za wystarczające napuszczenie swoich SMI (środki masowej informacji), zduszenie mocną pętlą embargo lub wzniecenie „pomarańczowej rewolucji".

A jak już byłeś jego przyjacielem i nagle, w jego mniemaniu, zdradziłeś go, nie wybaczy – aż do twojej śmierci. Dlatego, jeśli nie możesz być przyjacielem Ameryki niezawodnym i na zawsze, lepiej nie właź jej w oczy.

W stosunkach czysto ludzkich Amerykanie także dzielą swoich partnerów na dwie kategorie: rozgarniętych chłopaków i drani. Oczywiście, mądrych, rzeczowych i uczciwych partnerów zaliczają do tej pierwszej kategorii i z nimi prowadzą sprawy na dłuższy dystans, poważnie i po dżentelmeńsku, a niepoważnych, bezradnych i niedoświadczonych – do tej drugiej i obchodzą się z nimi bez ceremonii, ze źle skrywaną pogardą, posługując się łapówkami i nie widząc nic złego w oszukaniu tych drani.

Wcześniej wujek Sam bardzo lubił pracować, ale raz znalazł niezwykłą zabawkę – maszynę drukarską. I tak mu się ona spodobała, że zapominając o wszystkim zaczął dzień i noc na niej drukować dolarowe papierki. A nadrukował tyle, że zasypał nimi całą Ziemię. I wtedy właśnie uderzył Globalny Kryzys. Wszyscy zaczęli za to winić wujka Sama, ale on poszedł w zaparte: nie, nie, temu są winni – chytrzy Japończycy, dumpingowi Chińczycy, buntujący się Europejczycy, lewicujący Latynoamerykanie, ekstremistyczni Arabowie i wszyscy pozostali, tylko nie on – idealny wujek Sam.

Koleżka Iwan

Rosyjski Iwan – przedziwny chłop. Dobry, prostoduszny, ufny, ale pełen imperialnych kompleksów. Jak go posłuchać – najmilszy i najsympatyczniejszy człowiek, ale wszyscy go zaczepiają i zmuszony jest im oddawać. Co jak co, ale bić się umie i dlatego zwycięża, a skoro zwyciężył, to jak nie zabrać sobie ziemi sąsiada? A gdy tylko noga Iwana na tę ziemię wstąpiła, to stała się ona rosyjską i świętą – nikt nie śmie na nią wkraczać. No, a skoro już ziemię zajął, to należy wprowadzić na niej własne porządki, oczywiście, dla dobra miejscowych.

Czy my wam każemy siłą przyjąć rosyjski język i rosyjską kulturę? Skąd, ale to przecież zrozumiałe, że wielka rosyjska kultura was wzbogaci, a co się tyczy języka, to – komu potrzebny wasz, miejscowy język, skoro rosyjski otwiera przed wami świat?

Jak żyliście wcześniej, a jak żyjecie teraz? Przecież to niebo a ziemia! A-A-A! – Straciliście najlepszych ludzi, zapomnieliście o własnych korzeniach? Gdzie las rąbią, tam wióry lecą. A jeśli idzie o korzenie, to mieliście je i co one wam dały? Wszyscy mówicie: „rosyjskie imperium, rosyj-

skie imperium!" A kto w nim żyje najlepiej ze wszystkich? Może Rosjanie? Wszyscy, tylko nie my.

Po czym Iwan na pewno w swojej historii zapisze, że wszystkie te narody dobrowolnie przyłączyły się do niego i były bardzo szczęśliwe. I w żaden sposób nie może zrozumieć, dlaczego on wszystkim czyni dobro, a jego, nieszczęsnego, nie kochają i uważają za kolonizatora. Za to przez cały czas wydaje mu się, że otaczają go sami niewdzięczni i podstępni ludzie, zajęci tylko spiskowaniem przeciwko niemu.

Dlatego z Iwanem lepiej nie kombinować, a prowadzić rozmowę otwartą. Należy wziąć sporą butelczynę, pojechać z nim daleko do jakiejś Puszczy (na przykład: Białowieskiej), wypić, objąć go i wyznać, że za niego gotowi jesteście dać głowę, wytłumaczyć, czego od niego się chce i podpisać papier. A on rozczuli się i podpisze. Prawda, że na drugi dzień rano, przy świeżej głowie, Iwan długo będzie sobie przypominał, co też on tam podpisał. I tu należy być bardzo ostrożnym i wiedzieć, co powiedzieć. Jeśli, nie daj Bóg, zechcesz prostacko oznajmić: „Rozwaliłeś największe mocarstwo", to tylko czekaj nieszczęścia. Walnie pięścią w stół, złapie cię za klapy, wrzaśnie „figa!" i obieca zmieść z powierzchni ziemi nowopowstałe państwa. A jeśli dumnie oświadczysz: „Wania, ty rozwiązałeś totalitarny Związek i dałeś wolność narodom" – podrapie się po głowie, zamyśli i burknie: „No cóż, jak podpisałem, to podpisałem – Wania słowa dotrzymuje. Koniec, od dzisiejszego dnia nie ma radzieckiego imperium".

Z Iwanem lepiej się nie spierać, z nim trzeba zawsze się zgadzać i chwalić jego działania, a postępować po swojemu.

Pojęcie walka ma dla niego sens sakralny. On wszędzie piętrzy przed sobą niewiarygodne trudności, po czym z wściekłością z nimi „walczy". Stąd w Iwanie chorobliwe wprost uzależnienie od walki na pięści. Może znieść wszelakie niedostatki, głód i chłód, zniszczenia i zarazę, ale postraszenie pięścią jest dla niego nie do zniesienia. Chodzi z płonącym wzrokiem, wszystkich zaczepia, a jeśli się trafi odpowiedni przeciwnik, bije się z nim w upojeniu i cały obity, okrwawiony, ale niewiarygodnie szczęśliwy wraca do domu. Po czym zaczyna tak pracować, że sam diabeł by nie wytrzymał.

Oto, powiedzmy, 70 lat temu zjawił się wściekły Hans, po prostu – oszalały chłop. Cały świat trząsł się i mu schlebiał, a ten zwyciężał wszystkich

pod rząd i zajął całą Europę. A nasz Iwan wciąż się męczy wątpliwością: przylezie do mnie, czy nie przylezie? Jednak – przylazł. Na początku Hans dał Iwanowi takie manto, jakie mu się nawet nie śniło. Wszyscy uznali, że koniec z biedakiem. No i co myślicie? Wania się wściekł, oczy zaszły mu krwią i zaczął tak wywijać pięściami, że biedny Hans rzucił się do ucieczki. Wania za nim, przy okazji grzmocąc wszystkich, co mu stanęli na drodze. I jak myślicie, czym się to wszystko skończyło? Wania nie tylko dobił Hansa w jego własnym domu, ale jeszcze zajął pół Europy, zaprowadził tam własne twarde porządki, od których inne narody zawyły i… nazwał to wyzwoleniem.

Iwan przywykł żyć w napięciu, jak tylko dać mu „luz", prędko odzipnie, a potem z nudów zaczyna zaczepiać, np. jakichś Afgańców. Jemu samemu od tego zrobi się niedobrze, więc trochę ich przetrzepawszy, powróci do domu i zrobi kipisz, ganiając rodzinę po wszystkich kątach. Potem zaszyje się w kąt i porzucając wszystkie sprawy z mocarstwowymi włącznie, smutno zlegnie. W międzyczasie liczni bracia i siostry, zabierając własne dobro, uciekną do siebie. Dom będzie się rozpadał, a jemu – wszystko jedno.

Dlatego, panowie zza oceanu, błagam was: dla własnego spokoju nie drażnijcie śpiącego rosyjskiego niedźwiedzia. Zdaje się, że pociemniały wujek Sam w końcu to zrozumiał.

Dziadek Han

Dziadek Han, chociaż wiek ma szacowny, nie jest wcale zgrzybiały, a wręcz na odwrót – energiczny, jako że włada tajemnicą długowieczności. Za nim pięćdziesiąt wieków bogatej historii i dlatego wszystkich innych uważa za barbarzyńców. Dla niego Europejczycy zeszli z drzewa przedwczoraj, Rosjanie – wczoraj, a półdzicy koczownicy, rozbijający się po nagich stepach przy samej jego granicy – barbarzyńcy do kwadratu.

Między Kerimem (Kazachem) i Hanem od niepamiętnych czasów rozciąga się chiński Wielki Mur, (chociaż z wiekiem znalazł się w środku Chin) i dzieli dosłownie wszystko: ich kulturę i byt, postrzeganie świata i filozofię życiową, styl bycia i sposób myślenia. Co ciekawe, te dwie różne od siebie bajki, istniejąc obok siebie, do tej pory prawie na siebie nie oddziaływa-

ły. Ale na styku dwóch tysiącleci Han rozpoczął ekspansję we wszystkich kierunkach. (I na kazachskim stepie jego wpływ stał się nader widoczny.).

Jego taktyka jest szczególna. Mądrość to wielka odpowiedzialność, dlatego im partner bardziej prostoduszny, tym więcej mu się proponuje. Bo ulubioną przypowieścią Hana jest następująca. Pewien uczeń, po ukończeniu szkoły powszechnej, postanowił podziękować Nauczycielowi. Ten pyta: „Jak zamierzasz zdobywać serca ludzi?" Uczeń odpowiada: „Siedemdziesiąt razy posłużę się pochlebstwem." „Czyż to wypada?". „Drogi mój Nauczycielu, a czy wszyscy są tak mądrzy, jak ty?". „Tak, niestety, masz rację" – uśmiechnął się Starzec. A młodzieniec, odchodząc, mruknął: „No i posłużyłem się jednym z moich pochlebstw.".

A poza tym, Han zawsze pamięta słowa Konfucjusza: „Rozmawiając poważnie z człowiekiem, z którym rozmawiać nie należy, tracisz słowa na próżno". To przecież jasne: „W zgniłym drzewie rzeźby nie zrobisz, brudnej ściany białą nie uczynisz".

O tym, że u nas dużo szlamu, Han doskonale wie i w tej mętnej wodzie łowi największe ryby. Przypomnijmy sobie: Japończycy już prawie 65 lat dopominają się od Iwana zwrotu czterech malutkich i całkiem nagich wysepek, swoich – nie cudzych. Od trzech wieków Hiszpania stara się zmusić Anglię do zwrotu malutkiej skały gibraltarskiej. I cały świat ze spokojem przypatruje się bezowocności tych starań. A tu mądry Han, cicho i niepostrzeżenie, oderwał kazachskiemu prostakowi 500 kilometrów kwadratowych strategicznie ważnych rdzennych ziem i – nikt nie zwrócił uwagi. Powiadają, że Niebiański Władca nie zapomniał przy tym o własnej, starej tradycji obdarowywania posłusznych wasali licznymi sztukami jedwabiu i innych materii, bogatym strojem, herbatą i srebrem.

Ulubione przysłowie dziadka Hana: „Nieważne, jakiego koloru jest kot, czarny czy biały, byle łapał myszy". Tak więc ten „kot" wyłapał „myszy" w całych Chinach i teraz poluje na „myszy" innych państw. A ponieważ nasz Han, człowiek uparty i metodyczny, gdy postawił przed sobą cel zlikwidowania wszystkich much i wróbli, zlikwidował je, to nie można wątpić, że na świecie szybko niewiele zostanie dla innych „kotów". Mało tego, chiński „kot" z każdym rokiem staje się coraz większy i stopniowo przeistacza się w bezwzględnego smoka, który niebawem zostawi „myszy" i zacznie polować na cudze koty.

Według licznych prognoz, w połowie XXI wieku smok machnie skrzydłami i stanie na ziemi wznoszącego się w dumnej samotności amerykańskiego orła. Tak, że wujek Sam patrzy z niepokojem na nader pracowitego dziadunia Hana.

Jednak, jak to się mówi, nawet mędrzec może się potknąć. I także przemądry Han popełnia błędy. W większości związane są one z tym, że barbarzyńcy, którym niedostępne są wszelkie zawiłości konfucjańskiego rozumu, czasem po prostu nie wiedzą, że tak czy inaczej nie należy postępować. I w swej naiwności nieoświeceni Hunowie, Turcy, Czeczeni, Mongołowie i Mandżurowie zdobyli znaczną część lub prawie całą Niebiańską i długo tam rządzili. A rosyjski Iwan, który mógłby być Hana wnukiem, ponad połowę XX wieku dobrze ćwiczył swych nieco starszych braci.

Fakt, teraz role się zmieniły: Han Iwana ma za młodszego brata, a Kerima za chłopca na posyłki. Ale kto wie, jak jeszcze obróci się koło historii…

Taszmat-aka

Uzbecki Taszmat-aka to mieszanka Kipczaka (Połowca) z Iberem[2], na przykład w proporcjach 1:2. Od tego pierwszego wziął język, przynależność etniczną, nazwę własną i bojowego ducha, a od drugiego – wszystko pozostałe: wygląd zewnętrzny, kulturę, kuchnię, strój włącznie ze sławną tiubietiejką, instrumenty muzyczne i obyczaje. A że wolnego ducha Kipczaka i głęboką duchowość Ibera wchłonął w siebie harmonijnie, więc zgodnie z prawem uważa się za wyższego od ich potomków – Kazachów i Tadżyków, o pozostałych nie mówiąc.

W Uzbekistanie niemało jest takich, których wszyscy pra-pradziadowie i pra-prababki, dziadkowie i babki, ojcowie i matki, to Tadżycy lub Kazachowie, ale ich dzieci – to Uzbecy. I nie ma w tym nic dziwnego, jako że zagadkowa uzbecka dusza jest autonomiczna i wchodzi w tego, kogo… wskaże jej władza.

Jeśli to asymilacyjne tempo przetrwa, bardzo prędko nie tylko Tadżycy i Kazachowie, Ujgurzy i Tatarzy, ale Rosjanie i Niemcy, Ukraińcy i Żydzi oraz wszyscy pozostali staną się tam Uzbekami. I ta silna fala może nakryć

[2] **Iberia kaukaska** – państwo istniejące na terenach wschodniej Gruzji między V wiekiem p.n.e. a VI wiekiem n.e.

sąsiadujące z Uzbekistanem terytoria w Tadżykistanie, Kirgistanie, Turkmenii, Kazachstanie, a nawet potoczyć się dalej. Taszmat posiada ukryte marzenie rozszerzenia się aż po rozmiary imperium Tamerlana, gdzie wszyscy staną się od razu Uzbekami.

Taszmat to człowiek dokładny i pracowity, pracuje dzień i noc za symboliczną zapłatę. Sama praca dostarcza mu zadowolenia i pozwala zachować poczucie własnej godności. Zawsze cierpliwy i uparty w dążeniu do celu, odnosi się do wszystkich łagodnie i umiejętnie wykorzystuje ludzkie słabości. Posiada kilka uczuć wyższych, których nie pozwoli naruszyć nikomu: wiara w islam, nietykalność kobiecej części domu i przekonanie o tym, że nie ma nic starszego od kultury uzbeckiej.

Gdybyście przypadkowo potrącili te jego czułe struny, to zyskacie w osobie Taszmat-aki poważnego wroga. I tu jednak pojawia się kolizja. Uzbekistan wyróżnia się tym, że ma dwa islamy. Nie w sensie nurtów muzułmańskich, ale – dwóch odrębnych wyznań. Symbolem jednego z nich jest Koran Karim (islam koraniczny), a drugiego – prezydent Karimow[3]. I pomiędzy islamem koranicznym a islamem Karimowa toczy się bezwzględna walka. Dlatego Taszmat-aki rozdwaja się: w mahalli (dzielnicy, osadzie) ciągnie jego duszę do sunnickiego islamu i modli się do Allacha, a w ciężkiej, marnie opłacanej pracy – żołądek ciągnie go do Islama Karimowa i pada wyczerpany przed portretem Wodza. Taszmat umie skrywać swoje uczucia i po jego zewnętrznym wyglądzie nigdy nie można odgadnąć, co sądzi naprawdę. Nawet jak jest wściekły, nie drgnie mu żaden muskuł, żaden włosek, tylko głos stanie się nieco bardziej uprzejmy i oczy pokryją się lekką mgłą. Ma znakomicie opanowaną mowę gestów, którą rozumieją tylko bliscy i przyjaciele. Z przedstawicielami innych narodowości jest uprzedzająco grzeczny i odnosi się do nich ze starannie skrywaną ironią.

Jego stosunek do kazachskiego Kerima to temat osobny. Ci dwaj bracia, których los rozłączył pięć wieków temu, stali się zupełnie różni i trwa między nimi ukryta rywalizacja. Uzbek, widząc na horyzoncie jakiegokol-

[3] **Islam Karimow** rządzi w Uzbekistanie od 1989 r. – początkowo jako komunistyczny sekretarz, potem – prezydent niepodległego państwa. Pod jego rządami 20-milionowy Uzbekistan, najludniejszy kraj Azji Środkowej, ojczyzna legendarnego Tamerlana, stał się regionalnym mocarstwem.

wiek Kazacha, odczuwa wielką pokusę oszukania go lub w ostateczności – wodzenia za nos. Nie tyle dla korzyści, ile dla sportu. Na przykład wielki Taszmat przyjechał na prezentację kolejnej siedziby swego niemniej wielkiego przyjaciela-koczownika, Kerima. Gość rozpoczyna swoje wystąpienie tymi słowami: „Ta-ak, tylko wielkie państwo, z wielkim chanem na czele, nie bacząc na to, że kraj znajduje się w ruinie, a naród głoduje, może pozwolić sobie na myślenie o przeniesieniu siedziby. I nie tylko myśleć, ale i to zrealizować, nie bacząc na wszelkie ofiary. Czego wam gratuluję!".

Z punktu widzenia jadowitego sarkazmu, mowa raczej bezwzględna, ale zadowolony Gospodarz ufnie obejmuje figlarnego sąsiada i dziękuje mu za ciepłe słowa. Po czym mieszkaniec Taszkientu, po powrocie do domu, z wielkim zadowoleniem opowiada o swoim wyczynie. Rodzina i przyjaciele śmieją się po koleżeńsku, klepiąc się głośno po biodrach, omawiają niewybredne dziwactwa nuworyszy i atmosfera dobrodusznej wesołości trwa jeszcze długo.

Nasz rodzimy Kerim

Znakomity Aldar Kose (Bezbrody Oszust) przeszedł do historii wraz z koczownictwem, a jego miejsce zajął blady Kerim.

Kerim i Karim są z jednego korzenia, ale wariant kazachski brzmi: „zdumiewający" i rzeczywiście zdumiewa cały świat… nierozsądkiem. W ogóle to smętnie domyśla się, że jest irracjonalny, zahukany i niedokształcony, ale jest też przekonany, że to wszystko go nie umniejsza, lecz na odwrót – wynosi do boskiej jakiejś Prostoty. I z tej Wysokości spogląda pogardliwie na przemądrzałych Francuzików, Kałmuków, Amerykańców, Ruskich, Italiańców, Kitajców, Japończyków… Bo przecież: „Kogo Bóg lubi, temu dużo daje". Spójrzcie tylko, jakie ogromne u nas przestrzenie, nieprzebrane bogactwa, a u innych – co? Anglicy gnieżdżą się na maleńkiej wysepce, Japończycy – na czterech małych wysepkach, Włochom jakimś cudem udało się „umieścić na bucie", Żydzi od ponad sześćdziesięciu lat wojują z Palestyńczykami na terytorium równym pastwisku dla najwyżej tysiąca kazachskich jurt. Fakt, Bóg darował niemało ziemi Rosji i Ameryce, ale za to są imperiami, a być imperium to grzech. Dlatego nie ma żadnej wątpliwości, że właśnie jego Bóg wyróżnił spośród pozostałych narodów.

Kerim – urodzony demokrata, by nie powiedzieć anarchista: kocha Wolność, Step i gardzi Miastem. Miasto to dla niego cuchnące więzienie, w którym został osadzony z woli złego losu. I jak tylko otrzymał pełną wolę, to znaczy – niepodległość, od razu zaczął niszczyć wszystkie te sodomie: okropne, śmierdzące zakłady, hałaśliwe fabryki, które niszczą jego ojczyznę i ukochany Step.

Kerimowi dla autoafirmacji niezbędna jest wielka historia. Ale z tym jest pewien kłopot: przodkowie niemało natworzyli, ale te leniuchy nic nie spisały i ich „wielkich" czynów trzeba szukać u obcych historyków, do czego trzeba znać całą masę współczesnych, ale i dawnych, języków obcych. A od samego słowa „ źródło pierwotne" dostaje się dreszczy. Nie chce więc Kerim na podobieństwo angielskich, chińskich, arabskich, irańskich, francuskich, rosyjskich i innych moli książkowych, ryć w wersetach manuskryptów w poszukiwaniu jakichś tam faktów historycznych. Nie, praca podobna syzyfowej to dla niego poniżenie. I co robi? Bierze napisane jak najprościej i przetłumaczone na rosyjski, (który znośnie sobie przyswoił) prace żałosnych moli i wybiera cytaty mające związek z nami, z Turkami i z muzułmańskim światem. Rozcieńczając to wszystko płodami swej bujnej fantazji, tworzy Historię. Wcale się nie przejmuje wrzaskiem Moli, on jest swego pewien, bo karmi go natchnienie Boskie.

Bardzo lubi rozważać z mądrą miną na temat kultury i oczywiście głosić swoje: „Kazachska kultura to jedna z kultur najdawniejszych, jeśli chodzi o źródła i najoryginalniejszych w porównaniu w kulturami ogromnego kontynentu, które bez żadnej przesady, ale w XII wieku omal nie znalazły się na granicy zagłady". Wszystko, oczywiście, powiedziane dla pięknego słowa, bo on nie ma pojęcia nie tylko o cudzych „źródłach" i „podstawach", ale nawet o własnych i dlatego zapomina powiedzieć, że właśnie on sam ciągnie rodzimą kulturę ku „granicy zagłady". Więc dalej plecie w upojeniu podobnie bezmyślne zdania.

Siedzi Kerim w każdym Kazachu, czy jest to doktor nauk, który zapomniał o nauce i stał się dworzaninem, czy wieczny urzędnik, który nigdy nie powąchał nauki, lecz nagle dla świata stał się „doktorem" wielu nauk. Czy też akademik, co nagle w wiadrze z wodą odnalazł uniwersalny środek na rozwiązanie wszystkich bolesnych problemów lub ambasador, który zapomniał, jaki kraj reprezentuje. Albo – człowiek inteligentny, który posta-

nowił pogrzebać w dziurawym worku, z którego każdy coś wygrzebuje dla siebie. Czy też – autor tych słów.

Kerim jest wszechobecny, jego wścibskie uszka wyglądają z komunisty i z liberała, słowianofila i okcydentalisty, patrioty i kosmopolity. Z typu kazachskiego stopniowo przeistacza się w ogólnokazachski i jak zawsze, rozpoczyna od góry swoje podboje. Na przykład, szereg wysokich urzędników i biznesmenów narodowości rosyjskiej, niemieckiej, koreańskiej, żydowskiej etc. to – Kerimowie czystej wody.

Nie znosi Kerim utalentowanych współplemieńców i robi wszystko, by psuć im życie. A wystarczy, żeby odeszli do lepszego świata, natychmiast zaczyna wydawać rozpaczliwe okrzyki: „Oj ludzie, kogo my straciliśmy!" Po czym pisze łzawe wspomnienia, jak to wielki zmarły go kochał i powierzył mu kontynuację wielkiego dzieła.

Jeśli Kerimowie osiągną wysokie stanowiska państwowe, to ich krewni nawadniają Olimp i trybalizm wypełnia próżnię państwowej ideologii. Taki, siedząc w swym kryształowym pałacu, popijając drogi francuski koniak i zakąszając to białym, to czarnym kawiorem, niekiedy ze współczuciem westchnie: „Tak, biedny mój naród głoduje i marznie". Po tych słowach współbiesiadnicy szepcą z zachwytem: „O, biedny i wielki nasz Kerim, on przecież nocami nie śpi, myśląc o narodzie." Ale to oczywiście przesada – sen ma Kerim znakomity.

Kerim, jak Iwan, lubi awantury. Przecież w swoim czasie awantura była jego profesją i go żywiła. Teraz, oczywiście, czasy są inne, ale awanturniczy duch brodzi we krwi. Przecież szalony Hans przyszedł z mieczem nie sam, a ze swymi pijanymi przyjaciółmi. Iwan też stanął przeciwko niemu wraz ze swymi krewniakami, a brat Kerim wyróżniał się spośród wszystkich i bił się tak, że biedny Teuton postanowił napuścić na niego mitycznego Mongoła. I na Hansa Reichstag Kerim wdrapał się pierwszy, ale ponieważ na Kremlu siedział wąsaty Wano, usłużna czeladź wyniosła na piedestał jego współplemieńca.

A oto współczesny i niezwykły przykład kształtowania bojowego ducha. Opowiadają, że dziesięć lat temu, w jakiejś odległej Australii, gdzie skaczą dzikie kangury, odbywała się Olimpiada. Wszystkie inne kraje przygotowywały się do niej przez cztery lata, wydawano duże pieniądze na przygotowanie sportowców, zajmowali się nimi trenerzy, psychologowie

i… uzdrowiciele. Jak postąpił nasz sprytny rząd? Stwierdził kategorycznie: nie damy nic tym darmozjadom – ani pieniędzy, ani sal sportowych i w ogóle, mamy dość kłopotów bez nich. I jak myślicie? Głodne i gołe koguciki hartowały się, biegały boso po śniegu, bez rękawic trenowały boks i uczyły się przyjmować ciosy.

Przed rozpoczęciem światowej Olimpiady pierwszych, którzy wpadli pod rękę kogucików pośpieszne zebrano, wydano wszystkim tę samą średniego rozmiaru „olimpijkę" i kilka par szykownych sportowych butów, żeby nosili je na zmianę, więc waga musza w nich tonęła, a na wadze ciężkiej trzeszczały szwy. Potem stali się jeszcze bardziej szczodrzy –wszystkim wydali po kilka koszulek i spodenek z dumnym napisem „Kazachstan". Bosych wsadzili do samolotu, zawieźli na piąty kontynent i… wypuścili na ring. Dzicy Kerimowie, z głodnym błyskiem w oczach, wprawili wszystkich w przerażenie – znakomici bokserzy o kamiennych sercach drżeli jak delikatne dziewice, wystraszeni sędziowie bali się sędziować… Na dwanaście kategorii wagowych, w czterech Kerimowie doszli do finału, zdobywając dwa złote i dwa srebrne medale. (Ach, gdyby władze poświęciły im nieco uwagi, sportowi bossowie w porę przeprowadziliby eliminacje, wybierając najlepszych bokserów, a przede wszystkim – gdyby, chociaż w dniu wyjścia na ring, nakarmiono ich świeżym mięsem – nasi Kerimowie zdobyliby minimum dwa razy więcej medali i to głównie złotych.)

Mam nadzieję, że teraz zrozumieliście, dlaczego nasza najmądrzejsza władza odbiera narodowi wszystko i trzyma go w swych rękawicach ze skóry jeża. Wszystkie psy i tchórze, których jest większość, zbiegną i w Kazachstanie zostanie ze sto tysięcy ludzi. Co w pełni wystarczy, bo przecież ważna nie ilość, a jakość. Za to będzie to zupełnie nowy typ ludzi: supermani, gotowi przeżyć i zwyciężyć w każdych warunkach. I oni, oczywiście, zawojują cały świat. Drżyjcie, wujaszku Samie i dziadku Hanie!